Nr. 45. We Lwowie dnia 6. Listopada 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Bolesław Limanowski.

Gorące, a niewyjawione jeszcze publicznie pragnienie serc młodych, myśl, krążąca śród ogółu, — myśl święcenia literackiego jubileuszu Bolesława Limanowskiego, wielkiego obywatela, wielkiego pisarza, wypowiedziało naraz pięknie i silnie — piórem Wł. M. Kozłowskiego – Życie krakowskie. Po omówieniu długiego szeregu prac, z których pierwsza drukowaną już była w r. 1860 w paryskim „Przeglądzie rzeczy polskich", p. Wł. M. Kozłowski następującą ich podaje ocenę:

„Charakteryzując w kilku słowach działalność p. Bolesława Limanowskiego według dzieł, dotychczas wydanych, śmiało możemy powiedzieć, że zapewnił on sobie niezachwiane stanowisko w dziejach naszej literatury, jako pierwszy pisarz polski, który w sposób naukowy i daleki od wszelkiej partyjności wejrzał w głąb zagadnień społecznych doby bieżącej: oświetlił je ze stanowiska historji myśli i czynów, związał ideały ogólnie ludzkiego postępu z przeszłością, z nadziejami i aspiracjami narodu naszego; a jako filozof społeczny ujął te zagadnienia i ideały w formy oryginalne, samodzielnie pomyślane i przystosowane do ducha oraz tradycji narodu naszego. Głęboka erudycja i wszechstronne oczytanie, obecność ideji przewodniej w każdej pracy i szerokie filozoficzne ujęcie każdego zagadnienia, obok szczerości i sumienności w wypełnianiu zadań podjętych, czyni dzieła Limanowskiego wysoce kształcącemi, budzą one myśl do samodzielnych zagadnień i prac. Mało mamy autorów tego typu. Gdyby mnie zapytano, jakie z oryginalnych dzieł polskich naukowych może najwięcej przyczynić się do rozwoju myśli czytelnika, najkorzystniej wpłynąć na jego wykształcenie, wskazałbym bez wahania na Historję ruchu społecznego w XVIII. i XIX. stuleciach".

Sąd tyle pochlebny, ile prawdziwy, a tem donioślejsze posiadający znaczenie, że wypowiadają go usta kompetentne uczonego, — filozofa.

Przystępując z koleji do sprawy uczczenia wielkich zasług pisarza, który w zaraniu życia i czynem też walczył za ideały narodowe, potem był długoletnim wygnańcem, a po dziś dzień jest tułaczem, — p. Wł. K. rzuca myśl, że „najwłaściwszą może formą byłoby nabycie od autora rękopisu wstępu do socjologji i ofiarowanie mu w prezencie jubileuszowego wydania tego dzieła. Aby zaś mogło się to stać na ziemi rodzinnej i z udziałem szerszym współrodaków powinniśmy przedewszystkiem postarać się o zniesienie przepisu, zakazującego mu wjazdu do Galicji".

Myśl wydania „Wstępu do socjologji" powzięła jeszcze ubiegłej zimy młodzież wyższych zakładów naukowych lwowskich, która zwoływała nawet w tej sprawie kilka poufnych zgromadzeń. Wakacje przerwały rozpoczęte zabiegi, nie ulega wszakże wątpliwości, że w bieżącym roku szkolnym zostaną one doprowadzone do pomyślnego skutku. Młodzież — nasza zwłaszcza — jest nietylko „do światła zwróconą źrenicą narodu" — bywa ona też i jego sumieniem, umie — jak pouczają dzieje — spełniać jego obowiązki. Niechże spełni i w danym wypadku obowiązek, niech spłaci hołdem wdzięcznej miłości dług, zaciągnięty przez całe społeczeństwo względem niestrudzonego pracownika na niwie narodowej, który w zamian za ofiarną pracę całego życia otrzymywał dotąd tylko ciernie...

Nowe pieśni polskie.

Nazwisko Stanisława Niewiadomskiego nie od dziś zalicza się do rzędu tych, którzy ubogą literaturę muzyczną polską wzbogacają licznemi a cennemi kompozycjami w dziedzinie pieśni.

Utwory jego to przeważnie cacka, celujące nietylko wytworną formą, ale bogatą inwencją, prawdziwem, serdecznem uczuciem.

Świeżo pojawiły się dwa cykle pieśni Niewiadomskiego „Jaśkowa dola“ (trzy grupy po trzy pieśni) i „Siedm Melodyj“ do słów Mickiewicza, wszystkie w wytwornem wydaniu nakładem K. Jakubowskiego we Lwowie

Geneza „Jaśkowej doli“ do słów Konopnickiej jest bardzo oryginalna. Kompozytor, wczytując się w dzieła poetyczne Konopnickiej, odnajdywał tu i ówdzie, rozsypane w licznych utworach poemaciki i zwroty, dotyczące „biednego Jaśka“. Raz ten, a raz ów wierszyk natchnął kompozytora do napisania muzyki, aż tak powoli powstała jakaś ciągłość między temi, losy Jaśka opiewającemi zwrotkami.

„Kołysz mi się, kołysz, kołysko lipowa, niechaj cię, Jasieńku, Pan Jezus zachowa“, oto pierwsza perełka w łańcuszku pieśni o „Jaśkowej doli“. Po tej kołysance, pięknej a rzewnej, następuje w lat kilkanaście rozstanie się rodziców z Jaśkiem, idącym za służbą „na gody“. „Popłakali, dali tatusiową kamizelę, za pazuchę kromkę chleba; idźże Jaśku w świat szeroki „na gody!“

I Jaśko poszedł, a na drodze jego życia stanęła dziewczyna — latawica. „Latawica lnu nie sieje, lnu nie przędzie... na zroszonej tańczy trawie, wabi śmiechem i pustotą“. Ta pieśń w szczególności powiodła się Niewiadomskiemu znakomicie, tyle tam poezji, tyle uczucia. Rytm i harmonja kilkakrotnie się zmieniają, to ballada, to dumka mile łechce ucho, a ostatnie wykrzykniki lata-wi-ca! (w oktawie d-D-A) lata-wi-ca! (d-f-d) są wprost prześliczne.

Pieśń następna „Nie swatała mi cię swatka“ znana jest publiczności, uczęszczającej na koncerty, a także uprawiającej muzykę w domu. Jest to znana i uznana perełka kompozycji pieśniowej.

W części trzeciej „Idzie Jasiek na wojenkę“, a matkę błaga o koszulinę z lnu ze wsi ojczystej, bo „jak dostanę w piersi kulę, jeśli taki wyrok boski, niech na sercu mam koszulę z lnu naszego, naszej wioski!“

I poszedł Jaśko na wojenkę, a kula nie przebierała. W chacie bieda, w chacie nędza, niema czem opłacić podzwonnego!“ „Dolaż moja nieszczęśliwa, Jasieńku miły, łzy te mojeż chyba tobie będą dzwoniły!“ biada matka w „Dzwonach“. Oto „Jaśkowa dola“, a zarazem ostatnia kompozycja w cyklu nowych pieśni Niewiadomskiego, których zestawienie i zatytułowanie nastąpiło za porozumieniem się z Konopnicką. I jeszcze jedna zaleta, którą celują najnowsze te kompozycje, mianowicie ta, że autor czerpał z wielkiem znawstwem w bogatym skarbcu motywów ludowych, o których się raz, pisząc aforyzmy w wydawnictwie „Dla Śląska“ dość złośliwie wyraził. Widać bowiem z „Jaśkowej doli“, że niekoniecznie ci „czynią najlepiej“, którzy owe melodje ludowe „zostawiają nietknięte w polu“. Tym właśnie melodjom ludowym, a nawet tym rytmom ludowym, zawdzięczają najnowsze pieśni Niewiadomskiego, obok innych niezaprzeczonych zalet, że są tak piękne, tak wdzięczne i świeże!

Artystyczna forma kompozycji, doskonale treść ilustrujący akompaniament i wogóle wszystkie wymogi nowoczesnej sztuki kompozytorskiej bynajmniej nie zaćmiły przeczystego klejnotu „melodji ludowej“. Przeciwnie, w okazałej tej oprawie błyszczy on zdwojonym ogniem.

Owa misterna robota, odznaczająca tak pochlebnie pieśni, składające się na „Jaśkową dolę“, widoczną jest także w „Siedmiu Melodjach“ do słów Mickiewicza. Już z samego zatytułowania widać, że kompozytor nie miał tu zamiaru napisania pieśni wedle prawideł, stosowanych nawet przez najswobodniejszych co do formy nowoczesnych kompozytorów pieśni. — Muzyk podchwycił u Mickiewicza jakąś zwrotkę, jakiś zwrot lub ustęp poetycki, a przejęty tegoż pięknością, ubrał go w szatę muzyczną, w melodję. Są to rzeczy bardzo piękne, wymagające myślącego, inteligentnego, deklamatora-śpiewaka.

„Jaśkowa dola“ i „Siedm melodyj“ Niewiadomskiego są, jakto u wstępu zaznaczyliśmy, cennym i pięknym nabytkiem dla polskiej literatury muzycznej.

St. Meliński.

LILI.

ŻAŁOŚNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy).

— Właściwie czego panowie chcecie? — zagadnął po długiem milczeniu Kuczborski.

Zakrzewski wyłuszczył cel odwiedzin.

— Nie cierpię takich głupich małpowań sztuki. Teatr uważam za rozsadnik głupstwa, słyszysz pan, za rozsadnik głupstwa — powtórzył z naciskiem. — Aktorów przepędziłbym przez rózgi i zamknął w domu poprawy. Słyszysz pan?

— Słyszę, bo, niestety, nie wynaleziono jeszcze ochrony słuchu przed słuchaniem głupstw!

Kuczborski odwrócił się do niego prędko i długo mu patrzył w oczy, ale wszedł Korczewski i zaczął mu dziękować za swoje wyschnięcie i zapraszać na przedstawienie, zachwalając grę i benefisanta na swój sposób.

— Proszę o dziesięć biletów, wyszlę służbę.

Korczewski, olśniony, podawał mu bilety, i znowu zaczął gadać.

— Cicho pan! oto pieniądze. Moje konie odwiozą was do sąsiada, żegnam. Andrzej, wyprowadź panów — odwrócił się do okna i spokojnie gładził bokobrody.

Wyszli spiesznie, przed dworem istotnie już czekała para koni, zaprzężona do małych sanek, któremi dojechali do dworu sąsiedniego. Stangret miał polecone odwieść ich i wrócić natychmiast.

We dworze nie zastali nikogo, bo wszyscy pojechali do kościoła. Z trudem we wsi wynajęli chłopa, który się zgodził obwieść ich po sąsiednich dworach, za skromną sumę rubli 3.

Wiodło się im dosyć szczęśliwie, sprzedali jeszcze kilkanaście biletów, dwa razy tylko wylecieli do rowu, bo saneczki były t. z. „obrębkiem", który po utartej szosie zamiatał wciąż z jednej strony na drugą; w kilku domach nie zastali nikogo, w jednym powiedziano im, że nie potrzeba, że kupią sobie w kasie, raz tylko im nawymyślano i chciano odstawić do wójta.

— Mam już dosyć wrażeń, wystarczy mi na całe życie, możebyśmy wracali — zaczął Zakrzewski.

— Mamy jeszcze dwa dwory, w których na pewno sprzeda się kilka biletów, mam zanotowane. Pierwszy dwór to Rędziny, wielki majątek, pałac, hrabina Libińska, wdowa! a drugi — jakiś pan Maleniecki, bardzo bogaty, od piętnastu lat nie rusza się z domu, bzik, nadzwyczaj hojny i wspaniały, dwór po książęcemu!...

— No, więc jedźmy do hrabiny. Gospodarzu, czy jest w Rędzinach dziedziczka w domu?

— W Rędzinach? Dziedziczka? Aha to niby jasna hrabina. A kajby ta była! Ho! ho! to sielma pani! Zagranicznych małpów se nasprowadzała kiej djabłów czarnych... Wio! Wio! gniady, a to ci panowie na obrok przyłożą, jak sie bandzies pilił... Wio!...

W Rędzinach, skoro zajechali przed pałac, wyszło naprzeciw nich dwóch uliberjowanych lokajów, zaprowadzili ich do olbrzymiego salonu i zniknęli.

Salon był piętrowy z kolumnadą marmurową, podtrzymującą galerje dla muzyki, umeblowany z przepychem, ze wspaniałemi obrazami na ścianach stiukowych; wielkie weneckie okna wychodziły na park.

Czekali minut kilkanaście, nikt się nie zjawił. Panowała głucha cisza dokoła, jakby nikogo nie było w całym pałacu. Pootwierane drzwi pokazywały długą amfiladę pokojów, również wspaniale urządzonych. Leon przeszedł cały szereg pokojów, obejrzał tysiące kosztownych cacek, porozstawianych po kominkach i stoliczkach, jedwabne obicia ścian, meble, starożytne biurka i zegary, kosze pełne kwiatów świeżych, ale nie spotkał nikogo; wrócił do Korczewskiego, który, onieśmielony przepychem mieszkania, siedział pokornie na brzeżku krzesła i niespokojnie spoglądał na ślady, jakie jego buty pozostawiały na posadzce.

— Nikt nie był?

— A nikt. Może pan zadzwoni, o, tam jest guzik elektryczny, bo ja nie śmiałem.

Leon zadzwonił. Natychmiast zjawił się lokaj i zapewniał, że jaśnie pani hrabina raczy przyjść za chwilę.

Przeszło znowu minut kilkanaście i nikt się nie zjawił. Leon znowu zadzwonił.

Przyszedł ten sam lokaj i zapytał się, w imieniu jaśnie pani, kto są panowie i czego sobie życzą?

Korczewski złożył afisz, wsunął w niego książkę z biletami i dał lokajowi, polecając oddać pani hrabinie.

Czekali również kilkanaście minut, aż wrócił, ale nie sam; przyszedł z drugim, starym, wyglądającym na kamerdynera. Pierwszy ze srebrną tacą w ręku stanął przy drzwiach i czekał, aż stary obszedł wszystkie otwarte pokoje, obejrzał drobiazgi, popatrzył po ścianach na obrazy i wyszedł; wtedy postąpił kilka kroków i podając na tacy biletową książkę, rzekł poważnie:

— Jaśnie pani hrabina przysyła.

Korczewski obejrzał książkę; nie brakło ani jednego biletu, nic nie wzięto; afisz również odesłano, ale gdy go wziął w rękę, wysunął się z niego rublowy papierek i upadł na ziemię. Korczewski schylił się, aby podnieść, ale Zakrzewski odsunął go gwałtownie i rozkazującym głosem zawołał na lokaja:

— Podnieś to!

Lokaj podniósł i położył na tacy.

— Prowadź do pani pokoju! — powiedział znowu rozkazująco.

Lokaj, jak automat, obrócił się i poszedł naprzód. Przeszli kilkanaście pokojów; przed szerokiemi oszklonemi drzwiami, lokaj się zawahał.

— Otwórz i prowadź! — zawołał zduszonym przez gniew głosem i wszedł do wielkiej oranżerji, pełnej zieloności, duszącego ciepła, zapachu kwitnących mimoz i fjołków.

U sufitu, na złotych obręczach, kilka papug, podobnych do kłębów drogich kamieni, kołysało się sennie; w środku oranżerji był marmurowy basen, z którego wytryskiwał pióropusz wody i ze słodkim szmerem opadał; poza nim, pod grupą wachlarzowatych palm, kołysało się kilka kobiet na biegunowych fotelach i śmiało się głośno z potwornie brzydkiej małpy, baraszkującej z charcikiem angielskim.

— Oddaj tego rubla pani i powiedz, że postąpiła, jak pokojówka, przebrana za hrabinę — zawołał tak podniesionym głosem, że wszystkie oczy podniosły się na niego.

Odwrócił się i wyszedł.

Korczewski już czekał na niego w saniach. Zmierzch płynął od lasów i krwawemi pyłami rozsypywał się od zórz purpurowych zachodu. Słońce ogromną, rozpaloną kulą zapadało za lasy, a po śniegach, po drzewach, w powietrzu rozlała się przeogromna cisza nocy nadchodzącej. Na wschodzie pokazywały się gwiazdy i zawiewał stamtąd czasami wiatr bardzo cichy i mroźny, aż konie parskały, wyrzucając nozdrzami słupy pary. W dalekich, jakby zasypanych śniegiem wsiach skrzypiały studzienne żórawie i rozlegały się ryki krów.

— Dwadzieścia lat temu najmniej, jak byłem w tej okolicy. Pamiętam dobrze, że w którymś dworze, gdy przyjechałem tak samo z benefisem, było jakieś zebranie; sprzedałem wszystkie bilety, miałem pieniędzy pełen kapelusz, literalnie pełen kapelusz mi nakładli. Nikt nie liczył, ile dawał. Mój Boże, gdzie to te czasy! — mówił cicho Korczewski i jakiś smutek głęboki, jakby tego umierającego dnia, zaświecił mu w oczach.

— Tak, pamiętam dobrze, grałem wieczorem Franciszka Moora w „Zbójcach“. Co to były za brawa, co za krzyki, co za publiczność! Dobrze grałem, a szczególniej akt piąty... kobiety mdlały: gdy przyszła scena z Danielem, wiesz pan, opowiadanie snu, wszyscy się trzęśli z trwogi. Dobrze grałem.

— I przychodzili i kładli moje grzechy na szalę, ale szala kołysała się wysoko... aż przyszedł stary... siwy... ja go poznałem, Danielu! i rzucił garść siwych włosów i szala moje opadła na dół... To był mój ojciec, Danielu! Zrobiła się straszna cisza, w której rozległ się głos tak potężny, że aż mi szpik w kościach zlodowaciał... Wszyscy zbawieni, tylko ty jeden przeklęty! Przeklęty! — powtórzył cichym, strasznym głosem rozpaczy bezbrzeżnej.

Ramiona mu opadły bezwiednie i szklanemi oczami obejrzał się dokoła, grał całą duszą.

— Nie pokazuj pan, bo furman może myśleć, żeś pan zwarjował — zwrócił mu uwagę Zakrzewski ironicznym tonem.

Korczewski popatrzył na niego i szepnął:

— To może co z operetki?

I zaczął wyśpiewywać rozmaite drygi operetkowe.

Na ostatku, już pod samym miastem, wstąpili jeszcze do jakiegoś małego folwarku i zostali, bo przyjęto ich nadzwyczaj gościnnie. Kilkanaście osób tam zgromadzonych, przeważnie młodzież, bawiło się doskonale w różne gry. Tak się rozochocili, że Zakrzewski grał na fortepianie i śpiewał, a Korczewski, podpiwszy sobie rzetelnie, deklamował całe akty dramatów, i udawał rozmaite komiczne typy, i wciąż się całował ze wszystkimi, i ciągle wspominał swojego dziadka kasztelana.

Dobrze już po północy szlachcic odesłał ich swoimi końmi.

Na drugi dzień Zakrzewski stanowczo nie chciał jechać w drugą stronę okolicy; miał dosyć dnia wczorajszego.

* * *

Zakrzewski, dowiedziawszy się od Korczewskiej, że Lili przyjechała, poszedł do niej z bijącem sercem.

Już nie pamiętał podejrzeń ani plotek, tylko witał ją z uniesieniem; ale gdy pierwsze wrażenie przeszło, zaczął się jej przyglądać podejrzliwie. Lili była jakąś zmizerowaną, bladą i niewyspaną; oczy miała wpadnięte i zaczerwienione, jakby od płaczu, mówiła cicho, nie podnosząc prawie oczów. Przesuwała się przez pokój bojaźliwie i ciągle ginęła za parawanem, skąd powracała z drgającemi, obrzmiałemi ustami i jakby z tłumionem ustawicznie łkaniem.

Matka natomiast była wyjątkowo rozmowną, opowiadała z uniesieniem o przyjęciu, jakie ich spotkało, opisywała szczegółowo poznanych ludzi, stroje, kolacje.

Leon słuchał, potakiwał głową, a przyglądał się Lili, która siadła na kanapce, opuściła bezwiednie ręce i siedziała cicho.

— Lili! — szepnął, przysuwając się do niej, gdy matka zamilkła.

Spojrzała na niego pytającym wzrokiem, ale takim smutnym, — że mu serce zadrgało z trwogi.

— Kochasz, co? Tak czekałem, tak czekałem... Kochasz?

— Kocham! — odpowiedziała cichutko, ledwie dosłyszalnym głosem, i pochyliła twarz

na piersi. ażeby ukryć łzy, a równocześnie zaczęła gładzić paluszkami jego dłoń.

— Zrób, Lili, herbaty, to i pan Leon się napije, bo zimno, a ja wam przeczytam rozdział powieści. Powiadam wam, że się popłaczecie.

Lili zakrzątnęła się koło samowaru, Leon pomagał jej, jak zwykle: ale nie było pomiędzy niemi tej zwykłej dziecięcej swobody zakochanych i przekomarzania.

Patrzyli na siebie przez cień, który im omraczał dusze coraz bardziej.

Mówili sobie: kocham, ale zbyt cicho i szeptem, podobnym do łkania: spoglądali z miłością, ale w tem spojrzeniu nie było pocałunków jak dawniej; w jego oczach tliło się podejrzenie, a w jej — jakiś straszny krzyk, tłumiony całą siłą woli. Dotykali się, ale bez dawnych dreszczów, które ich rzucały sobie w ramiona; Lili odsuwała się spiesznie, a na nim nie robiło to wrażenia.

Potem siedzieli przy herbacie, trzymali się za ręce i słuchali czytania matki, rzucając od czasu do czasu niespodziewane, głębokie spojrzenie i, spotkawszy się oczami, rozbiegali się spiesznie, dziwnie zmieszani trwogą, którą uczuwali. Matka czytała głucho i nudnie.

Od podwórza, od śniegów zbrudzonych i połachmanionych, od dachów budynków padał brudny cień i zalewał nudą cały pokój; a w tem świetle szarem wszystkie sprzęty wydawały się tak stare, zniszczone, nędzne, a wszystkie patarafki, serwetki, ozdoby tak ubogie, pospolite i brzydkie, że Zakrzewski patrzył ze zdumieniem dokoła, a potem z pogardą źle tłumioną.

— Może pójdziemy na ślizgawkę do parku? — powiedział, gdy matka czytać przestała.

— A pójdę, dobrze. Chciałam nawet prosić pana o to.

Ubierała się szybko.

— A nie siedźcie długo — rzuciła za niemi matka.

A oni na świecie odetchnęli nieco, zrobiło się im znacznie lżej. ale pomimo to mówili z sobą bardzo mało. Namyślali się nad każdem słowem, zdania z trudem wypowiadali; nieśmiałość dziwna, pełna obawy, trzymała ich od siebie zdaleka.

W parku było pusto, nudno i zimno, bo wiatr huczał głuchy i śnieg posypywał.

Na stawie nie było prawie nikogo, tylko kilku chłopaków biło się śnieżkami i goniło po lodzie.

Przypasał jej łyżwy i zaczęli robić ósemki, ująwszy się za ręce; ślizgali się dosyć długo, a on w końcu zapytał cicho:

— Dobrze, Lili!

— Dobrze! Bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się z przymusem, sztucznie.

— Pamiętasz, jak nam tutaj było dobrze w przeszłym tygodniu?

Skinęła głową, a on zaczął z zapałem przypominać najdrobniejsze szczegóły, unosił się, że tak cudnie wyglądała wtedy, rozpłomieniał się na wspomnienie tak niedawnej przeszłości, bezwiednie uciekając od chwili obecnej.

— Tak! pamiętam, pamiętam! — odpowiadała.

Twarz lekko się jej zarumieniła ze wzruszenia, całą duszą utonęła w przypomnieniu, piła tę przeszłą rozkosz zaciętemi od bólu ustami, ale w końcu szepnęła, wstrząsajac się.

— Wracajmy, tu jakoś zimno dzisiaj i nieładnie!

(Dalszy ciąg nastąpi).

13)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Zjadł, podziękował Panu Bogu. Wstał, wyprostował się i poszedł bróździą przez kartofle. Myślał, że w tym roku kartofle gniją i żal mu było biednych ludzi. „Co to to będzie jadło? Pewnie im Pan Jezus czem innem ten głód wynagrodzi... Ha, świat teraz ogromnie grzeszny!... Ludzie nie umieją Pana Boga o chleb prosić. Cierpią za to, a Bóg i tak łaskaw, że nie karze srożej“.

„Frruu!“ Zerwało się stadko kuropatw. — Próżno się spostrzegł i pomyślał: „Niech tam jeszcze pożyją!... Co one takie bystre w tej porze?“

Spojrzał po pola, widział z daleka pana rządcę na koniu i skręcił w przeciwną stronę. „Takiego zawsze lepiej omijać: zaraz wypytuje o to, o owo. Raz mu zamało kuropatw, zajęcy; drugi raz zadużo jastrzębi, lisów. Kiedyś gwałtu narobił o to, że ktoś tam widział w lesie Jaśka Teterę... Co prawda, Jaś sobie zadużo pozwala, a rządca ma jakieś takie oczy, co człowiekowi w duszy świdrują. Może on i wie o tej sośninie, dębinie?... Przysłał po mnie kiedyś chłopaka, — idę, a serce mi wali: „patataj, pata-taj...“ „Malwa — powiada — za strzelca służysz, a lisy po polach morzelańskich chodzą, jak owce! Rozkopywać jamy, wykurzać, truć, strzelać!“ O lisach ze mną mówił, a tak patrzał jakby wiedział o sprawkach Tetery. Na łgarza, krętacza, wyszedłem przez brata“.

Tak się wałęsał Malwa do wieczora i nic nie zastrzelił, tylko markotność w duszy jego coraz bardziej wzrastała. Stanął pod zagajnikami, łyknął gorzałki, zagryzł chlebem i za krzakiem przysiadł na piętach: „Może wychodnego zajączka upoluję tutaj“.

Rzecz dziwna, Malwa nie poszedł dzisiaj w stronę starego boru, gdzie się — podług umowy — zawsze teraz schodził z bratem Teterą. — Jeszcze przedwczoraj tam się spotkał i Jasiek tak przekonywał Kubę:

„Pan Bóg dlatego dał dużo bogaczom, ażeby biedni mieli z czego uszczknąć. Morzelany — duże państwo, nie znać wcale, gdy kto w lesie zetnie choicę, czy dębczaka“. Strzelec się opierał, zatkał sobie uszy, zamrużył oczy, a Tetera znowu zwalił ślicznego dębczaka. „Co moje sumienie jest warte?“ Ile razy się spotkał z bratem, zawsze popełnił grzech śmiertelny, „On mię zabija na duszy! Choć młodszy, jest Kainem, ja — Ablem“. „Pożycz-no mi dubeltówki — mówi raz Tetera — idę do Cieciórki polować w puszczy na łosie“. Malwa mu pożyczył dworskiej dubeltówki i przez trzy miesiące nie mógł odebrać; dopiero raz spoił brata gorzałką, zabrał strzelbę i uciekł. Zaczynał się coraz bardziej bać brata Tetery. „Mowny taki i chytry, że do najcięższego grzechu namówi“.

Zawiódł się strzelec i na rodzinie Jasia. Poszedł był niegdyś w odwiedziny do Malwicz był pewny, że go Flora i Teterzanki serdecznie powitają, tymczasem one kręciły nosem, krzywo nań spoglądały, wyśmiewały się z niego po kątach, nie prosiły go nawet siedzieć. Nie było mowy o tem, żeby go która z dziewczyn nazwała wujkiem. A jak one się wyśmiewały z niego! Terenia ręką aż sobie zasłaniała usta i krztusiła się od śmiechu, a Jadzia za każdym jego ruchem mrugała na Marynię. Zamiast spodziewanej rozkoszy rodzinnej, nałykał się wstydu, napoił serce goryczą. Przecież i to go niezmiernie zabolało, że Flora nie zamawiała do niego „bracie“ ani „Jakóbie“, tylko ciągle nieosobiście jak do kogo niższego z lekceważeniem: „Jakiż urząd ma się w Morzelanach?“ — „Pewnie nie pija kawy i herbaty-hę? — Strzelec jużby nigdy do tego domu nie zajrzał. Co sobie myślała ta Flora Gibulanka, pochodząca z Gibulic, gdzie dom jeden, siedm ulic?.. Nie spodziewał się, że i brata Teterę za nic miały te kobiety. „On nie bywa w kościele może dla tego“... Ale Flora wszystkich członków rodziny męża zawsze uważała za swoich nieprzyjaciół, o czem Malwa nie wiedział.

Gdyby Jaś nie był złodziejem, nie bluźnił, nie dowodził, że grzech nie jest grzechem, Kuba kochałby go bardziej za owe domowe przykrości, doznane od żony i córek. Cóż kiedy Tetera wyglądał jak szatan-kusiciel! „Przez niego będę chyba musiał podziękować za służbę przy dworze i uciec ztąd gdzie daleko, daleko, żeby się już nigdy z Jasiem nie spotkać. Narobiłem tyle grzechów, że tego przez długie czasy nie odspowiadam, nie odposzczę, nie odmodlę, nie odśpiewam“... Trapiła go nadzwyczajnie i ta myśl, co on powie, jeżeli jednego dnia pan rządca z góry fuknie: „Malwa czy ty wiesz, że Tetera drzewo z lasu kradnie i zwierzynę rabuje?“ Okropne położenie, ponieważ trudno zaprzeczyć i przyznać się trudno. „Mój Boże, tyle lat tu przesłużyłem, przywykłem oto do kościoła i mąsz! Dziedzic taki dobry dla mnie, na człowieka mię wykierował... Niczem byłem, on mię dźwignął. Tutaj mi nikt nie daje dobrego słowa, a dziedzic przy każdem spotkaniu mówi: „Jak się masz, Malwa? Cóż mi powiesz?“ I rękę swoją kładzie na mojem ramieniu, choć pan taki. Gdzież ja mam sumienie okradać dziedzica?...“

Myśli te do reszty zgnębiły strzelca, wspomniał sobie, że i pana swego będzie musiał teraz unikać. Nie miałby czoła stać przed nim oko w oko. Rozmyślał tak, siedząc na piętach i nogi pod nim ścierpły. Położył na ziemi strzelbę, usiadł należycie, przypomniał sobie że dużo zwierzyny na stół potrzeba. Las szumiał, gwiazdy świeciły. Malwa uczuł się samotnym na świecie, opuszczonym. „Jeden Pan Jezus jest przy mnie“. Tylko od Boga jednego nie potrzebował stronić. Niegdyś, niegdyś tam, przylgnął był do jednej dziewczyny z Kniaziewicz — nazywali ją „grubą Kaśką“. Jeszcze wówczas nie był taki pobożny. Coś go dziwnego do niej ciągnęło: łaził wszędzie, gdzie się spodziewał spotkać Kaśkę, gdyż lubił na nią patrzeć, choćby zdaleka i czuł wtedy, jakby głaskanie po sercu, a w ustach robiło mu się słodko. Nigdy nie zapomni tych czasów. Ale Kaśka była taka wspaniała, a on marny, mały: chyba po drabinie mógłby się dostać do jej szyi. Rozmawiała z nim tylko tak sobie, a kochała Wicka fornala, ogromnego chłopa, to ona pierwsza dała Malwie przezwisko „Mysi król“. Jednego razu podpatrzył ją przypadkiem ją i Wicka — straszne rzeczy! Kochajże tu dopiero kogo! — Malwa cierpiał potem, nie mógł sobie znaleźć miejsca.

Braterska miłość dla Tetery zdradziła teraz strzelca jeszcze gorzej, niż owa miłość dla grubej Kaśki: musiałby się bowiem wyrzec ostatniego, co mu zostało — Pana Jezusa i łaski Boskiej. Wyobrażał sobie, że łaska Boska schodzi na ziemię prościutko od tronu Boga w promieniach przecudnej jasności — osoba, owinięta w te promienie, gdyż oczy ludzkie nie są godne jej oglądania. On, sługa Boży, człowiek grzeszny, czuł niekiedy, że łaska Boska schodzi ku niemu. Tam, w głębokościach duszy, nie w oczach cielesnych, spostrzegał czasem tę jasność nad jasnościami. Dużo, dużo promieni, prześlicznych, przyjaznych promieni!

A teraz oto, z powodu Tetery, usunęły się od niego, uciekły chwile owych jasnych widzeń i jakby mroki nocy osiadły na duszy. Ciemno i zimno i straszno człowiekowi, kiedy od niego ucieka jasność miłości, nadziei, wiary!

Porwał się Malwa, ukląknął, złożył ręce, pochylił głowę, odmawiał z zapałem modlitwę,

a była to modlitwa nad modlitwami, podniesiona skruchą grzesznika, który się poczuwa do winy i błaga o przebaczenie: „Nie wódź nas na pokuszenie, ale nas zbaw od złego!“ Słowa słabo tylko wyrażają to uczucie, którem się strzelec modlił do Pana zastępów.

Wybiegł jeden i drugi zając, każdy z nich słyszał pod krzakiem szmer szeptu, podobny do szmeru strumyka, do szumu jodły, do głosu wiekuistych potęg, które przemawiają podczas ciszy nocnej. Przystawały zające, nasłuchywały jak dusza ludzka w pracy natchnienia wznosi się ponad świat cały i pojmuje wtedy to, co jest niepojęte. Malwa nie widział, nie słyszał przebiegających zajęcy, choć na stół dużo, dużo zwierzyny było potrzeba.

Wtem ktoś go w ramię trącił i wyrwał z zachwytu pobożności temi słowy:

— Kuba, cóż ty na spanie do boru chadzasz?

Strzelec wytrzeszczył oczy, zapomniał gdzie jest i z przerażeniem spostrzegł przed sobą Teterę.

— Czego ty chcesz odemnie?... — Zapytał Malwa stłumionym głosem, a ręką wykonał taki ruch, jak gdyby chciał odepchnąć brata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Sprawozdania.

Ks. Władysław Sarna, proboszcz w Szebniach: Opis powiatu Krośnieńskiego pod względem geograficzno-historycznym. Nakładem autora i prenumeratorów. Przemyśl, z drukarni Józefa Styfiego 1898.

Do coraz więcej wzmagającego się szeregu monografij historyczno-etnograficznych w kraju — dołącza się obecnie obszerna książka ks. Sarny, członka „Tow. ludoznawczego“, opisująca powiat Krośnieński nie tylko, jak tytuł wskazuje pod względem „geograficzno-historycznym“, ale także pod względem gospodarczym i etnograficznym. Praca ta dostała jedną z nagród konkursowych Zarządu Muzeum im. Dzieduszyckich.

Krótka część geograficzna przedstawia pow. Krośnieński jako kraj górzysty w części południowej, a podgórski w północnej, poprzerzynany licznymi rzekami, dążącymi stąd ku Wisłokowi. Temperatura średnia stosunkowo wysoka i nie dziw, bo jest to powiat przez słynną przełęcz Dukielską połączony z Węgrami. Gleba urodzajna tylko nad rzekami, zresztą w częściach górzystych, jak zwykle jałowa, wymagająca pilnej, a mimo to nie rentującej się uprawy. To główna przyczyna skłaniająca chłopa Krośnieńskiego do szukania innych źródeł zarobku. Rusini często emigrują do Ameryki i wracają z pieniędzmi; chłop polski emigruje mniej często, natomiast znalazł pracę względnie nieźle popłatną przy przemyśle tkackim, mającym charakter spółki, tudzież przy tartakach i nafcie. Wobec tego — ogólny dobrobyt powiatu, jeśli za podstawę przyjmiemy bilans handlowy, obliczony przez ks. Sarnę tylko według tonn, przedstawia się korzystnie i chłop Krośnieński staje się coraz bardziej gospodarczo, a w następstwie tego i politycznie ruchliwym. Dopatrywanie się nieufności chłopa ku dworom i plebanjom — jako skutku „gazet“ radykalnych — jak to czyni ks. Sarna, jest dowodem, że szanowny autor przyczyn i dążeń emancypacyjnego ruchu ludowego jeszcze dokładnie nie poznał i nie zanalizował.

Etnograficzna część pracy ks. Sarny przedstawia się korzystnie pod każdym względem; szkoda tylko, że pominięte zostały: etnografja ludu żydowskiego, antropologja i uogólnienia etnologiczne. Etnicznie powiat posiada ludność trojaką: tj. polską, żydowską i rusińską; ostatnia w dwóch odmianach, t. z. „Łemków“ i „Zamieszańców“. Pierwsi z nich to odrębny typ nawet antropologicznie, drudzy bardzo zbliżeni do ludności polskiej.

Druga tj. ściśle historyczna część pracy ks. Sarny przedstawia się najkorzystniej w części, opisującej źródłowo i krytycznie historję miasta Krosna. Jestto w istocie rzeczy — osobna monografia historyczna, dająca się z całej pracy bardzo dobrze wydzielić. Założenie Krosna odnosi autor do czasów panowania Kazimierza W., ale źródłowo stwierdzonym jest tylko fakt nadania przez tego króla gminie Krośnieńskiej prawa magdeburgskiego. Co więcej — faktem jest istnienie wójtów Krośnieńskich już przedtem, co dowodzi zdaniem mojem, że Kazimierz Wielki — Krosna wprawdzie nie założył, ale przez rozszerzenie samorządu gminy niemieckiej na całą osadę — zamienił ją na miasto. Dalsze dzieje Krosna rozpadają się na dwie główne części; pierwsza — sięgająca do pierwszej połowy XVII. w. — to okres względnego rozwoju przy pomocy sprzyjających warunków lokalnych i przywilejów królewskich. W tym czasie Krosno jest miastem warownem, zamożnem, o rozwiniętych stosunkach cechowo przemysłowych i kupieckich. Z pośród mieszczan — słynny Paweł z Krosna zasiada z początkiem XVI. w. jako profesor na jednej z katedr uniwersytetu Jagielońskiego. Od chwili, kiedy byt Polski zachwiał się wskutek wojen kozackich i wewnątrz rozwinęła się „złota wolność“ szlachecka — rozwój miast polskich wogóle, a więc i Krosna nie tylko przerwał się, ale począł szybko iść wstecz. Ks. Sarna nie szczędzi jaskrawych dowodów źródłowych na odmalowanie przyczyn upadku miasta w nadużyciach szlacheckich — jestto zresztą rzecz dzisiaj aż zbyt dobrze znana, a przecież zawsze korzystną jest rzeczą, jeśli się ją w pamięci odświeża. Korupcja z góry wkracza i do podupadłego mieszczaństwa; najwybitniejszy jego w tym okresie przedstawiciel — kupiec Wojciech Porcyusz — jest mimo ofiarności dla kościoła — człowiekiem niepewnego charakteru. Od chwili przejścia Krosna pod rządy austrjackie — nadużycia „złotej wolności“ skończyły się wprawdzie, ale natomiast rozpoczęła się nowa serja nadużyć biurokratycznych. Dopiero era konstytucyjna zadecydowała o powolnem podnoszeniu się miasta z „ruiny“. Z innych miejscowości powiatu Krośnieńskiego, podzielonych przez autora według parafij — dokładniejszą jest historja Dukli i zamku odrzykońskiego.

Całość pracy ks. Sarny przedstawia się wogóle korzystnie i powinnaby w myśl życzenia autora — znaleść naśladowców licznych pośród prowincjonalnego duchowieństwa. *Dr. K. I. G.*

Z pism i książek.

Zeszyt IV. — ostatni w tym roku — *„Przeglądu filozoficznego“*, umieszcza na czele obszerny, siedmdziesiąt kilka stronic obejmujący początek studjum Piotra Chmielowskiego pod tytułem „Filozoficzne poglądy Mickiewicza“. A dopełnieniem poniekąd cennej pracy znakomitego krytyka, — pracy, która odsłania prawie nieznane dotąd rysy duchowego oblicza wieszcza, służy rozprawa samego Mickiewicza o mistyku Jakóbie Boehmem. Pracę ową, nigdzie dotychczas nie drukowaną, „Przegląd filozoficzny“ podaje swym czytelnikom we francuskim oryginale, tudzież przekładzie polskim pióra Chmielowskiego — w formie dwuarkuszowej przeszło broszury. Pogląd Mickiewicza na Boehmego charakteryzuje zdanie zapisane już niegdyś przez Chodźkę, w którym poeta tak się o filozofie tym wyraża: „Z mistyków nowoczesnych największy jest Boehme, wielkim, czystym ogniem płonąca dusza i malująca swoje widzenie ognistemi słowami. Jest to prorok także Boży i taki jasnowidz dla ludów chrześcijaństwa dzisiejszego, jakim był Izajasz dla Hebreów.

Drugie miejsce w omawianym zeszycie „Przeglądu Filozoficznego“ zajmuje rozprawa prof. Ludwika Gumplowicza o „Ibn Chaldunie, socjologu arabskim z XVI w. We wstępie do rozprawy, w której podejmuje po dłuższej przerwie pióro, wytrącone mu z ręki tragiczną śmiercią syna, prof. Gumplowicz zaznacza, że Ibn Chaldun należy do myślicieli różnych czasów i narodów, którzy — na zasadzie własnych spostrzeżeń — dochodzili do poglądów na socjologję, popierających teorję samego autora. „Odkrycie to — pisze — pozbawi wprawdzie „teorję Gumplowicza“ pozoru nowości, ale natomiast przyczyni się może do stwierdzenia jej prawdziwości. Niechaj mi wolno będzie w końcu się przyznać, że odkrycie to, które niedawno zrobiłem, było dla mnie zarazem upakarzające i radośne. Upakarzające — bo mnie przekonało, że teorja, którą krytycy i socjologowie uważali za moją własną, nie jest bynajmniej nową, a zatem nie jest moją... Radośne jednak odkrycie to było o tyle, o ile mię napełniło otuchą, że teorja, przezemnie wygłoszona, nie musi być bezpodstawną, skoro już przed wiekami wśród cywilizacji, najzupełniej różnej od naszej, mniej więcej w ten sposób została wygłoszoną“.

Autoreferaty: dr. Złotnickiego, E. Abramowskiego, St. Szneidera, — bogaty dział „Krytyki i sprawozdań“, tudzież kronika i przegląd czasopism — składają się na obfitą treść omawianego zeszytu „Przeglądu“, który wziął sobie za zadanie krzewienie wiedzy filozoficznej u nas i z zadania tego —jak dotąd—świetnie się wywiązuje.

* *Kurjer Warszawski* umieszcza w jednym z ostatnich numerów B e r e z y n ę Or-ota, przepyszny obraz poetyczny, stworzony niewątpliwie pod wrażeniem panoramy, która przedstawia krwawy zachód Napoleońskiego słońca i zachód — nadzieji Polaków. Fantazję poety, wysoką a żywą, porywa w łabędzim swym śpiewie postać Napoleona, „boga wojny“, „orła walk tysiąca“, wspaniale go też maluje w chwili, gdy „na stos idą sztandary, co burzyły trony“... co „szumiały w płomieniach, we sławie i grozie“:

On patrzy! twarz, jak marmur zimna, nieruchoma,
Lecz jest w niej myśl, dla ducha jasna i widoma,
Czuję, co się tam dzieje pod czaszką genjusza!
Widzę: jak tygrys na smyczy miota mu się dusza.
Rozpacza! własne ciało kąsałby on! tytan!
Lecz milczy! Tak lew w straszne samotrzaski schwytan,
Choć mu się pierś królewska od szaleństwa wzdyma,
Cichy jest: tylko jednej hańby nie przetrzyma!

Wyraziście, choć kilku zaledwie pociągnięciami pióra, nakreślony portret. Ale jest w B e r e z y n i e, w historji i panoramie, — inny jeszcze bohater, wódz polskich zastępów, Józef Poniatowski! Przed tym wyniosłe czoło poety pochyla się w serdeczniejszym jeszcze hołdzie, aby wnet wznieść się pysznym ruchem dumy narodowej. Nie nazywa go po imieniu — wszak rzecz w Warszawie drukowana — i to przemilczenie, ta symbolika, potęgują jeszcze wrażenie, gdy wspominając o zdradzie, która dokonała klęski, tak mówi dalej:

I tylko jedna postać, rycerska i dumna,
Będzie stać, jak kamienna, a żywa kolumna!
I tylko jedna postać wytrwa aż do zgonu,
Przy huku piorunowym ginącego tronu!
Z szablą świszczącą, w burce, zwisającej z ramion
Poleci po śmierć jasną za gwiazdą swych znamion!
A potem — duchem czystym — na błękitów progu
Stanie, by swój ostatni raport złożyć Bogu!
Ot tam szarże! Hej! lecą ogniści straceńce
Po kulę w serce, jakby po kochanki wieńce!
Wiedzą, że już nie wrócą do chat swoich — wiedzą,
Że już nie pójdą z pługiem nad rodzinną miedzą —
I więcej: czują dobrze: coś błysło, coś zgasło!
Ale ot: „Do ataku! marsz!“ — wódz wydał hasło!
Koń i jeździec w dwa orły cudem się przetwarza
I gnają na harmaty....

** *Prof. Karol Hertz,* przystąpił do przekładu na język polski wybornego dzieła matematyka duńskiego Petersena „Mechanika racjonalna ze zbiorem zadań“ Mechanika Petersena odznacza się wielką ścisłością przy nader treściwym wykładzie. Tego samego autora przetłómaczył poprzednio prof. Hertz „Zbiór zadań geometrycznych“.

** Pełen przygód żywot Józefa Ks. Poniatowskiego nie jednemu powieściopisarzowi dostarczył już tematu do zajmującego utworu. Ze źródła tego zaczerpnął śp. *A. Rzążewski (Aer)* opowieść pt. „Z ł u d z e n i a“, która w książkowej postaci wyszła obecnie z druku nakładem księgarni Gebethnera i Wolfa z datą już przyszłoroczną na okładce.

Z drukarni K. Wiesnera we Lwowie, Akademicka 16.